№ 4. Warszawa, dnia (16) 28 Stycznia 1899 roku. Rok XLI.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
w Warszawie: kwartalnie . . rs. 1. Za odnoszenie do domu *kop. 10.*
Z przesyłką pocztową: kwartalnie . rs. 1.25; półrocznie . „ 2.50; rocznie . . . „ 5.—
Rękopisów mniejszych Redakcya autorom nie zwraca.

ZA GRANICĄ: We Lwowie i Krakowie Kwartalnie flor. 1.80, Na prowincyi flor. 2.20. Agencye główne na Galicyę: we Lwowie Księgarnia Polska Plac Maryacki 11; w Krakowie księgarnia S. A. Krzyżanowskiego. W innych państwach związku pocztowego kwartalnie rs. 1 kop. 60 lub walutą zagraniczną podług kursu
Za zmianę adresu kop. 15.

CENA OGŁOSZEŃ: Za wiersz petitu jednoszpaltowy lub jego miejsce kop. 12 „Nadesłane“ wiersz garmontu kop. 50. Ogłoszenia przyjmuje Administracya pisma i wszystkie biura ogłoszeń warszawskie i znaczniejsze zagranicą.
Adres Redakcyi i Administracyi: *Warszawa, Chmielna 26.* TELEFON 106.

Wiktor Gomulicki.

WYZWOLONA.

Karta z życia.

(Ciąg dalszy).

Cudowne to zjawisko znała dotąd Wanda tylko z książki. Spostrzeżenia, w złych warunkach czynione, ukazywały jej zaledwie lichy cień jego. Teraz miała cud tuż przed sobą — dotykała go wzrokiem, niemal palcami...

Serce biło jej mocno; wzruszenie oddech w piersiach zatrzymywało. Po raz pierwszy w życiu czuła wielki, całą istotę przenikający, do silnego upojenia podobny, zachwyt.

Już nietylko wzrokiem, ale swą całą istotą duchową przeniosła się na księżyc. Już jej tysiące mil nie dzieliły od tej wielkiej, kosmicznej zagadki. Stała tuż przy niej — rękę na niej kładła...

O! jakże błądzili dotąd uczeni! Te smugi promieniste nie są rzeczą martwą — nie są ani strumieniami zakrzepłej lawy, ani wyglądającem przez szczeliny kwarcowem jądrem księżyca.

Te smugi, to—żyły wody, wody żywej, jak kryształ błyszczącej, która szumnymi wytryskami dobywa się z boków skalistego olbrzyma. Cud Mojżeszowy powtórzył się na księżycu, ale powtórzył w milionowem powiększeniu.

Woda, żywioł dobroczynny, życiodawczy, którego tak uparcie odmawiano księżycowi, istnieje na nim, ożywia go, we wszystkich kierunkach przenika. Ona ją widzi; gdyby chciała, w dłońby jej zaczerpnęła.

Oto błądzi nad brzegami tych strumieni, tych rzek, które wyżłobionemi w skalistym gruncie korytami, po silnej, ale równo stopniowanej pochyłości lecą pędem szalonym, jak pchnięte cięciwą strzały. Nie równać się ich falom z falami ziemskich zdrojów. Chyba tylko dyamenty w stanie płynnym mogłyby dać o nich niejakie pojęcie.

Woda księżycowa wydaje się Wandzie rzeczą zadziwiająco żywą. Wyobraża ona jak najwyraźniej krew tego ciała niebieskiego, które niesłusznie martwem nazywają. Prawda, że szczyty jego są nagie, jak czaszka z włosów wypełzła, ale jak pod łysinami myślicieli, wre pod ich skorupą ogień pospołu z topniejącym śniegiem.

Wanda widzi to wszystko wyraźnie. Wzrok jej obejmuje równocześnie całość i szczegóły; z równą łatwością ślizga się po przerażająco spadzistych stokach gór, wwierca się w otwarte przepaście kraterów i na powierzchni dyamentowych fal spływa ze szczytów w doliny.

A w dolinach dopiero kwitnie całą pełnią życie księżycowe. Ci, co w odległej przeszłości nazwali doliny te „morzami,“ poznali więcej przeczuciem, niż późniejsi uczeni obserwacyą.

Tak, to są morza. Wanda o tem nie wątpi; wobec świadectwa zmysłów wątpićby nawet nie mogła. Czytała już nieraz o zielonawej barwie tych zagłębień — w tej chwili zagadka tej barwy stoi jej jasno przed oczami.

Po nizinach księżycowych rozlewają się morza; szumią też na nich puszcze niezmierne. Właściwie „szumi“ tam jedno i drugie. Szum ten dochodzi do uszu Wandy, wprawiając ją w nowy zachwyt, choć bynajmniej nie dziwiąc.

Posiada ona dość nauki, aby wiedzieć, że to nie jest proste złudzenie. Książki nauczyły ją, że w pewnych warunkach mózg przerabia wrażenia optyczne na słuchowe. Jeżeli morze i puszcza dają się jej *słyszeć*, znakiem to jest jedynie, że morze i puszczę *widzi*.

Jest w tej chwili samym słuchem, samym wzrokiem, samą myślą. Jak ptak i jak duch unosi się nad rozkołysaną powierzchnią Oceanu nawałnic, Morza obłoków, Jeziora marzeń i sąsiadującego z niem, niestety, Jeziora śmierci. Jak ptak i jak duch ulatuje nad rozchwianymi wierzchołkami drzew, które należą do rodu leśnych gigantów i potężne, fantastycznie pokręcone konary dumnie podnoszą ku niebu.

Kto powiedział, że księżyc nie ma atmosfery? Zkądże czerpałaby życie ta bujna, bogata roślinność? Co broniłoby bezmierny przestwór wód od wyschnięcia? Już kiedyś, kiedy Jowisz przesuwał się poza tarczą księżyca, dostrzeżono lekką, przejrzystą wstęgę cienia, opasującą naszego satelitę. Ktoś przyznał, że to była mgła — czemuż jednak zastrzegł się od uznania księżycowej powietrzni?

Nie może istnieć mgła bez wody, a woda bez powietrza.

Wandzie przedstawia się to zupełnie wyraźnie. Wie, że gdyby bardziej jeszcze wytężyła wzrok, dojrzałaby ptactwo bujające nad falami, przelatujące wśród drzew i szukające żeru w zatokach. Jest tego tak pewna, jak wartości x w dobrze zrobionym rachunku algebraicznym.

Ale cóż to? Czuje, że lot jej coraz bardziej obniża się w stosunku do księżyca, a coraz bardziej podwyższa w stosunku do ziemi. Unosi się teraz ponad górzystymi odcinkami, które, nakształt wysp, wynurzają się ze szmaragdowego bezmiaru morza. Dostrzega i rozróżnia mnóstwo nowych szczegółów.

Jakieś wielkie bryły o kształtach solidometrycznie prawidłowych, występują tłumnie z księżycowego padołu. Są tam olbrzymie ostrokręgi, sześciany, walce i t. p.

Z początku uważa to nowe zjawisko za gniazdo bajecznie wielkich kryształów. Ale

zaraz zmienia zdanie, bo widzi, że bryły są nieprzejrzyste, i że choć w jednem miejscu skupione, wydatnie różnią się pomiędzy sobą. Uderza ją nadzwyczajne podobieństwo ostrokręgów do wież, walców do baszt obronnych—sześcianów do mocnych, osadzistych gmachów.

Tak, nie inaczej — wzrok ją nie myli — wielki problemat nauki stanął przed nią otworem...

To gniazdo brył foremnych jest—miastem! O chwilo szczytna! chwilo, co w dziejach świata niestartemi zapiszesz się głoskami! I to jej, córce nieznanego poborcy w X. dane zostało dokonać tak pomnikowego odkrycia.

Jutro telegraf rozniesie imię jej po całym świecie. Akademia nauk, uniwersytety, redakcye czasopism i miliony, może miliardy czytelników powtarzać będą nazwisko: Wanda Dalewiczówna... Dalewiczówna... Wanda...

Ze wszystkich stron ziemi przylecą powinszowania, pochwały, objawy czci i hołdów. Gradem spadną dyplomy, medale, znaki honorowe. Znaczenie i powaga kobiety wyzwalającej się wzrosną do nieznanej przedtem wysokości; emancypantki całego świata nadeślą adres dziękczynny, a głuche, zardzewiałe w przesądach X., jakby tknięte iskrą elektryczną, zbudzi się i padnie na kolana przed swem uwieńczonem dziecięciem.

. . . .

— A to co, tego panie? Zasnęłaś panna przy teleskopie? Trzeba było przynieść ze sobą kołderkę, poduszeczkę i nocny... tego panie... czepeczek!

Zerwała się zawstydzona, oblana rumieńcem.

— Nie spałam—wyjąknęła na pół nieprzytomnie.—Po księżycu błądziłam. Los pozwolił mi dokonać wielkich spostrzeżeń. Widziałam—ach, panie, co ja widziałam!..

— Wiem, wiem... „Com widział, opowiem po śmierci—bo w żyjących języku niema na to głosu..."

— Nie, panie, to nie poezya. Choć doprawdy... ja nie wiem jak to nazwać? Nie spałam, zapewniam pana—nie przysięgłabym jednak, czy to była jawa. Jednegom tylko pewna: księżyc nie jest zużlem bez wody i powietrza. Niech mi pan wierzy — przysięgam panu na to...

Gorączkowe rumieńce nie schodziły jej z twarzy, oczy błyszczały fosforycznie.

— No, no —rzekł dobrotliwie stary, ujmując rozpalone jej dłonie w swe chłodne, kościste ręce — wszystko to możliwe. Pomówimy o tem jutro; tymczasem... tego panie.. zejdź na dół, gdzie czeka już na ciebie poczciwy Brzeski z żoną. A nie zapomnij wypić do poduszki parę szklanek gorącej... tego panie... herbaty z cytryną.

W jedną rękę wziął latarkę, drugą podał Wandzie, i po spadzistych schodach sprowadził ją ostrożnie na dół.

Przy pożegnaniu przypomniał jeszcze raz herbatę z cytryną. Wreszcie jakby od niechcenia, dorzucił:

— A o tem tam powietrzu i o tej tam wodzie, przeczytaj sobie w „Foografii" Śniadeckiego. To głupstwo nie jest tak wielkie, jak się moim kolegom... tego panie... wydaje.

Przez całą drogę Wanda była milcząca i zamyślona. Raz tylko otworzyła usta, aby zapytać profesora, czy nie ma dzieł Śniadeckiego. Ale Brzeski był filologiem, i obaj Śniadeccy nic go nie obchodzili.

W domu czekał na Wandę list. Na kopercie dostrzegła pieczęć pocztową rodzinnego miasta; na adresie poznała pismo Popiołka.

Bez pośpiechu, nawet ociągając się nieco, otworzyła kopertę.

Zaraz pierwsze słowa dały jej poznać, że ten list jest drugim z tych, które wysłano po jej wyjeździe. Pierwszy widocznie w drodze zaginął.

Popiołek donosił, zwykłym sobie swobodnym tonem, że „starszy" wciąż jeszcze „kwękają," i różne „paskudztwa" z apteki biorą, choć główne niebezpieczeństwo minęło.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Nieproszeni mistrzowie i mistrzynie

towarzyskiej poprawności.

Gdyby nam kto był wróżył przed jakiemiś czterdziestu naprzykład laty, że pod sam koniec stulecia będą się u nas jeszcze wydawały książeczki noszące tytuł: „Co wypada, a co nie wypada."

Gdyby nam był krakał jaki pessymista niepoprawny, że po tem wszystkiem, cośmy o sobie usłyszeli, i sobie samym wypowiedzieli prawd pochlebnych i niepochlebnych, będą w naszem piśmiennictwie peryodycznem możebne jeszcze artykuły... rozumowane o tajnikach i rygorach obowiązujących w świecie tak zwanego po polsku *savoir-vivre'u*. Gdyby jednem słowem chciano nam ubliżać przypuszczeniem, że po latach wielu będą się u nas ludzie zajmowali kodyfikowaniem przepisów konwencyonalnego kłamstwa i zeszłowiecznego blichtru, na użytek dorosłych dzieci rodzaju żeńskiego, bylibyśmy każdemu śmiałkowi takiemu bez ogródki powiedzieli, że nie wie nic o tem wszystkiem, do czego kobietę obowiązuje postęp, rozwój, dojrzewanie, dojrzałość, i nie ocenia doniosłości przełomu, dzięki któremu na wiekuistą niepamięć pogrzebaliśmy wszystkie minoderye, tresury kobiece i wszelkie naleciałości obce i własne, datujące z epoki upadku.

A tymczasem książeczki, o jakich mowa, drukują się, a co ważniejsza doczekują parokrotnych wydań. Piszą znowu ludziska artykuliki traktujące o sposobach, przy pomocy których można doszlifować umysłową nicość, pustkę duszną i obyczajowe nawet prostactwo, tak, aby się to wszystko razem dało sprzedać na targowicy towarzyskiej za światło niewątpliwe, polor istotny i kulturę niepodejrzaną.

Znowu zaczynają mistrzowie i mistrzynie tego *savoir-vivre'u* brzęczeć nad uszami kobiety apostolstwem nieuniknionej jakoby w życiu maskarady; znowu tej wkupującej się do szeregów czynnych i sięgającej po swój dział w trudzie społecznym, przypominają salon, jako arenę jej działalności—jako jej cel i przeznaczenie; znowu kuszą liczmanem taniej towarzyskiej wziętości, dającej się pozyskać zręcznie wymodelowanym ukłonem, płytkim, ale błyskotliwym frazesem, jakąś skopiowaną manierą — jednem słowem zrezygnowaniem z treści życia na rzecz formy — a z indywidualności własnej, na korzyść konwenansu.

Ach, ten salon wraz z jego szablonem startym, jak wycofany z obiegu trzygroszniak!— Że też z jego morderczą banalnością jeszcze wchodzącym obecnie w życie pokoleniom spotykać się przychodzi!

Toż to, jak widać, zawsze jest ta sama estrada, na której kobiecie wolno jest mówić tylko o tem, co jest starannie obranem z treści — co nie jest myślą, czynem, wiarą albo przekonaniem jej własnem lub czyjemkolwiek — to wiecznie ta sama trampolina, na której ona ma wykonywać tylko pewne umówione łamańce ruchów, a wszystko na rzecz tego konwenansu—z racyi konwenansu—przez konwenans.

Jeśli jest gospodynią domu, a ma uchodzić za taką, która posiadła tajnie *savoir-vivre'u*, uczą ją naprzeciw komu potrzeba zrobić przy powitaniu parę kroków naprzód — dla kogo powstać z krzesła — a komu siedząc oddać ukłon więcej lub mniej niedbały. Nie wolno jej również, żegnając, przekroczyć odcieni, należnych każdemu, odznaczeń. Jednemu tedy starczy skinienie głowy, tamten musi być odprowadzonym do połowy salonu, a znaleźć się musi i przywilejowiec, który odprowadzonym być winien aż do przedpokoju.

W tym przedpokoju znowu regulamin, znowu forma, znowu tresura — tylko odmienna. W salonie obracają się murzyni, mający ograniczone prawo słowa i ruchu—w przedpokoju murzyn niemy z jednym lub dwoma ruchami co najwyżej.

A tymczasem o tem się pisze, tego się naucza, ta rzecz traktuje się w piśmie poważnie— z namaszczeniem. I kiedy? Dzisiaj — dzisiaj u nas! Trudne do zrozumienia, mimo to autentyczne.

O użyteczności traktowania wogóle zagadnień takich i tym podobnych, w druku, słów kilka tutaj powiedzieć nam wypadnie.

Nie zapominajmy przedewszystkiem nigdy o tem, że stanowimy społeczeństwo stare kulturą. Jako tacy mamy swój własny obyczaj i swoją towarzyskość, bynajmniej nie pośledniejszą od zachodnio europejskiej; przy niej stać jest naszym obowiązkiem. Ją przekazuje jedno pokolenie drugiemu wraz z tonem i nastrojem domowym, zastosowanym do ducha czasu poczęści, i do stopnia cywilizacyjnego poloru. Dzieci zazwyczaj przyjmują te nawyknienia odruchowo od rodziców swoich, wdrażają się mimowiednie do pewnych form, bez potrzeby forsownego naginania się do nich, bez przymusu i kunsztu. Jednem słowem jest to coś, co się wyrabiało zawsze i dziś wyrabia w człowieku organicznie, w ścisłym związku z resztą jego ustroju, ale nikt z tych drobiazgów nie potrzebuje układać kodeksu, ani tworzyć z nich katechizmu dla pokolenia—tem mniej promulgować pod postacią praw, od których odstąpić się nie godzi. To też wszelkie obowiązujące

formy towarzyskie o tyle bywają dobre i pożądane w jednostkach, o ile są wynikiem ich harmonii wewnętrznej; nigdy jako przylepione do człowieka, zapożyczone, czy naśladowane.

Tylko u Irokezów możnaby łamy jakiegokolwiek pisma zapełniać wskazaniami tego rodzaju. Przypomina też to do pewnego stopnia opowiadanie o legendowym baletmistrzu francuzkim, który na San-Domingo cywilizował i uczył niegdyś tańca pokolenia murzyńskie, komenderując: „Messieurs le sauvages! Chaine! Mesdames les sauvagesses! En avant!"

Wracając jeszcze do tego salonu, o ktory, jak widać, tak bardzo chodzi ludziom niektórym, jako niby o atrybut cywilizacyi nieodzowny, to mniemamy, że i w przyszłości salony będą takie i owakie. Jedne, w których się gromadzić nie przestaną całego świata żartownisie z życia, siewcy więcej lub mniej wycofanych z kursu komunałów, i wogóle niestrudzeni przelewacze z pustego w próżne — inne, w których ludzie znużeni pracą szukać będą orzeźwienia dla myśli, na podstawie wspólności upodobań, przekonań i dążeń.

Wiara szczera w doskonalenie się jednostek i zbiorowości ludzkich, nie dopuszcza nawet tej smutnej alternatywy, aby pierwsze zawładnąć mogły kiedyś drugimi — owszem, skłonni jesteśmy wierzyć, że raczej te drugie eliminować będą stopniowo pierwsze, a im rychlej to nastąpi, im energiczniej pozbywać się będą społeczności nowe swoich balastów bezużytecznych—tem lepiej dla nich, i tem szersze widoki przed pokoleniem, które na tej drodze potężne kroki stawiać się odważy. Tak, jak dzisiaj stoją te sprawy, przyznać musi każdy umysł nieuprzedzony, że coraz jaskrawiej odbija świat pracy i doskonalenia się od świata próżni duchowej, formułek i pasożytnego wysysania społecznego organizmu. Zbiegostwa jednostek z jednego obozu do drugiego, będą się niewątpliwie praktykować zawsze, ale postawione naprzeciw siebie te dwa światy, stoją już dziś w takiem oświetleniu wzajemnego stosunku, że nic sobie do powiedzenia nie mają, bo w gruncie rzeczy na kompromisy między nimi miejsca niema i być nie może.

Decydującem, jak się zdaje, w tej kwestyi jest i będzie stanowisko, jakie zabiera kobieta w społecznościach nowych, Zmanierowana, lalka, kobieta-mebel, niewolnica formułek w słowie i czynie, kobieta-pozytywka, recytująca tylko wyuczone kuranty, musi koniecznie ustępować tej, która potężniej będzie umysłem i uczuciem, która zespolić potrafi działalność swoją z ogólno ludzkiemi dążeniami, zrozumie, do czego ją zajmowane miejsce w organizmie społecznym obowiązuje.

O kobietę taką nie lękajcie się nigdy, aby w jakichkolwiek postawiona warunkach szwankować mogła pod względem towarzyskim, aby ubliżyła ogładzie, taktowi, dobremu smakowi i owemu nakoniec *savoir-vivre'owi*, o który chodzi niektórym, jak gdyby o najcenniejszy ze środków, którymi kobieta oddziaływać może na bliższe i dalsze otoczenie swoje. Ona będąc sobą, będzie już przez to samo i poprawną; potrafi ożywić i nadać ton, bo będzie mieć tę treść ducha wewnętrzną, która koniecznie ujawniać się musi między innemi i doskonałością form zewnętrznych. Tylko pospolitość, próżnia, nicość intellektualna, dotresowana naprędce i na pokaz, utyka, szwankuje i dezoryentuje się przy lada sposobności. Nie lękajcie tedy się o nią, tak, jak się nie lękacie o mężczyznę gruntownego i znającego swoją wartość, aby się przypadkiem nie wydał małym i śmiesznym w zetknięciu z przeciętną płytkością jakiegoś mizernego ludzkiego środowiska.

Ta kobieta rozpocznie przedewszystkiem od przepolszczenia waszego *savoir-vivre'u*, a jeśli go sobie nazwie choćby „sztuką życia" naprzykład, to i tak szersze on jej wskaże horyzonty, aniżeli ów ogólniczek francuzki, przedstawiający bardzo, bardzo tuzinkową funkcyę, którą świat obarcza kobietę, a która też, przyznać należy, coraz więcej się jej przykrzyć zaczyna.

S.

MALARSTWO.

Całą epopeję napoleońską zapragnął zamknąć w cyklu 21 obrazów, młody artysta czeski, Oskar Rex.

Istotnie dla malarza historycznego, mało jest w dziejach równie pociągających tematów. Nie można zatem dziwić się wyborowi przedmiotu. Powinien jednak był artysta zmierzyć siły swoje, rozważyć, czy dorósł talentem i techniką malarską do olbrzymiego zadania, jakie podjął.

Czyż istnieje w dziejach barwniejszy moment od tej Napoleońskiej złotoskrzydłej baśni? Kłębią się dymy armatnie, migają pióropusze, wieją sztandary, armie całe suną, złowroga gwiazda świeci na niebiosach! Potężne, szalone brio barw, kończy biała, smętna symfonia, a po niej w epilogu już tylko błękit, błękit bez końca, południowych mórz lazurowe, nieruchome cisze! A co za galerya typów! Ci króle perweniusze, ci genialni plebeje poprzebierani za książąt, te królowe i księżniczki, których tryskające, niepohamowane życie ledwie pomieścić się może w ramach etykiety monarszej, cała ta gromada dzieciaków, którym los na ruinach tronów pozwolił przez chwilę zabawić się w królów, na placu gilotyny przedrzeźniać strącony w kałużę krwi i błota majestat, czyż to nie oryginalne, nie fantastyczne widowisko? A ten człowiek z gwiazdą przeznaczeń u czoła, ten wicher, który wionął po Europie i wstrząsnął stare jej posady, lasy poprzyginał do ziemi, i od pustyń śnieżnych odparty, poszedł skonać w oceanach drugiej półkuli.

Zaprawdę, genialną potrzeba mieć duszę, by ten krótki, a imponujący sen odtworzyć.

Rex geniuszem nie jest; rozporządza bardzo ubogą techniką, i znowu dziwić się przychodzi, dlaczego Salon Krywulta sprowadził jego obrazki. Prawda, że nawet sam przedmiot jest zawsze tak interesującym, że wystarcza ogłosić tytuł cyklu, by zwabić publiczność, ale ta publiczność wymaga bardzo wiele. Ten wielki człowiek, który żyje dotąd w naszej wyobraźni, opromieniony jest taką aureolą, że tylko najwyższy stopień artyzmu mógłby zadowolnić nas w tym razie—tylko genialny artysta mógłby nadać ciało naszym marzeniom o nim.

Francuz kocha Napoleona dotąd za sławę, którą okrył Francyę, lecz dla Czecha jest on obojętnym, o ile naturalnie Czech ten nie posiada duszy wrażliwej na wielkość, upajającej się potęgą dziejowego dramatu.

Rex stara się być od dramatu jak najdalej. Ani jednego pola bitwy, ani jednej z tych płomiennych, szalonego ruchu i energii chwil!

Napoleon w życiu codziennem, domowem, zakulisowem, oto w czem lubuje się jego pędzel. Z wyżyn dziejowych do buduaru sprowadzony bohater, zmalał, a co gorsza na obrazach Rexa spospolicial tak okropnie, że ani podziwu, ani nawet sympatyi nie budzi. Jest czemś w rodzaju wstrętnego karła, igraszką losu, powołanego do odegrania wybitnej roli na świecie.

Na pierwszym obrazku widzimy Bonapartego w szkole w Brienne; siedzi na stole, dokoła niego mapy. Przyszły zdobywca zapatrzony w dal, błąka się duszą gdzieś, może po przyszłych polach bitew. Ten obrazek posiada stosunkowo najwięcej nastroju. Coś niby widmo przyszłości podnosi się przed tym zadumanym młodzieńcem.

Następny obraz „w Egipcie" nie wywiera na widzu żadnego wrażenia. W grobowcu faraonów, zapełnionym sarkofagami, stoi Korsykanin, odwrócony od widza, wyrazu twarzy jego nie dostrzegamy.

Gdyby malarz czeski czytał naszych poetów, przypomniałby sobie może naiwne opowiadanie Grzegorza:

Jak dziś pamiętam, zdala lał się Nil błękitny,
Dalej, jakiegoś miasta widać było mury
I nad głowami niebo czyste, bez obłoku,
A powietrze, choć bardzo jasne, grało w oku;
Nad katafalkiem, niby od gromnic płomyki...
Lecz co najbardziej ludu zadziwiło szyki,
To były owe wielkie murowane góry;
Ztądby je było widać, gdyby nie Karpaty,
I gdyby z nieba można było zetrzeć wszystkie
[chmury.

Klnę się panu, na piramid szczycie,
Jak w kościołach sławnego malują Michała,
Taki stał rycerz w zbroi, promiennego ciała,
I płomienistą dzidą przebijał z wysoka
Wijącego się zdala na pustyni smoka,
Co ku nam leciał w chmurze kurzawy i piasku.
Sto dział zagrzmiało. Oczy zgubiłem od blasku,
A kiedym wzrok odzyskał, aż tu mameluki
Krzywemi nas szablami dziobią gdyby kruki...

Tym, którzy w literaturze swojej posiadają takie obrazy, nie można pokazywać czegoś w rodzaju illustracyi do jakiegoś naukowego dzieła o krainie faraonów, i podpisywać pod tem „Napoleon w Egipcie."

„Sielanka w Malmaison" ma dużo wdzięku. Rex lubi malować ładne kobiety, i lubi widocznie, swobodne, uwydatniające kształty, stroje „empire." To też wszystkie te obrazki, na których widzimy czy to Józefinę, czy księżnę Badeńską, czy Maryę Ludwikę, wszystkie pociągają ku sobie wzrok.

Dziwnie jednak upośledził artysta królowę Pruską Ludwikę, której urodę wychwalają przecież Niemcy. Przy dużej, grubej i skrzywionej płaczliwie Niemce, śmiesznie wygląda mały, zgięty Napoleon.

Tytuł „Na szczycie Alp” przywodzi na myśl obraz Dawida. Tamten jest efektowną fantazyą, czuć w nim ten powiew uwielbienia dla bohatera, który przenikał wówczas wszystkie piersi. Obrazek Rexa grzeszy brakiem szerokiej perspektywy. Napoleon na pierwszym planie, zasłania sobą cały prawie widnokrąg. W oddali tylko widać długi szereg spuszczających się po stokach żołnierzy.

Epizody z wyprawy do Rossyi dziwnie traktowane są przez artystę. Żadna z przerażających scen 1812 r. nie odżyła pod jego pędzlem.

Widzimy dużą płaszczyznę śnieżną, mogiłę pokrytą śniegiem i stojącego nad nią w zadumie cesarza. Nie wiem o ile historycznym jest ten obraz. Zdaje mi się, że Napoleon nie miał czasu dumać nad mogiłami. Mniejsza jednak o to, gdyby ten obraz podbijał melancholią, gdyby wiał od niego tragizm śmierci, miałby artystyczne prawo istnienia, choćby w zupełnej stał niezgodzie z historyą. Niestety jednak, pozostawia on widza zupełnie chłodnym, a nawet tu, zawsze niezręczna i często źle rysowana postać Napoleona, w końcu zaczyna razić boleśnie.

Na drugim obrazku podpisano „w Moskwie.” Cóż tu jest? okno, przy oknie Napoleon, za oknem różowa łuna. Jest to traktowanie wprost naiwne, tembardziej, że twarz cesarza, która w tej chwili sama jedna mogłaby przedstawiać najbardziej interesujący obraz, zostaje w cieniu, i nie wiemy, co wyraża.

Jednym z ładniejszych fragmentów w tym cyklu, jest „Na Elbie.” Mamy tu dużą przestrzeń błękitu wodnego i zachodzące nad morzem słońce, i postać cesarza ze wzrokiem utkwionym w dal.

Mniej efektownem jest: „Na wyspie św. Heleny.” Więcej przestrzeni, więcej tych bezgranicznych wód!—wyrywa się mimowoli z ust widza. Wiemy przecież, że te bezmiary oceanów, te przepaści wodne, dzieliły go od świata czynu i walki. Potrzebą umysłu naszego jest, by nam tu pokazano nieskończoność mórz i ciszę, i skałę z przykutym Prometeuszem.

Gdyby Rex czytał naszych poetów i posiadał sam więcej poezyi w duszy, na zakończenie ukazałby nam gromadkę widm-okrętów, rzuconych wśród bezmiaru wód, i położył podpis:

Ta na morzu z mew girlanda szara,
To jest flota z popioły cezara...

Ale artysta czeski ma umysł za mało poetyczny—za chłodną duszę i za szczupły zapas środków technicznych, by godziło mu się porywać na tak olbrzymi temat. Życie olbrzymów, tylko olbrzym słowa czy pędzla opowiadać może.

H. C.

Z Ameryki.

Za przykładem poczytnego bardzo „Scientific-American” rozpisują się szeroko pisma starego i nowego świata o dziwach Nowo-Yorskich i Chicagoskich olbrzymich budowli. Dzieje się to tym razem głównie z powodu, że w ostatnich czasach zgorzał jeden taki kolos w New-Yorku, w którym się mieściły biura (Home-Life-Company) i że po tym już pożarze oddanym został do użytku inny, który rozmiarami przechodzi wszystkie największe gmachy naszego globu, a który z racyi, że leży na skraju Rov-Parku nosi nazwę Park-Row building.

Co się tyczy gmachu spalonego, to uległ on zniszczeniu wbrew zapewnieniu budowniczych, którzy utrzymywali, że nie może być pastwą płomienia dom, składający się prawie wyłącznie z marmuru i żelaza. Było w samej rzeczy tak, ale tylko prawie — niezupełnie. Drewniane były futryny okien, i przez nie to właśnie przeniósł się pożar z domu sąsiedniego. Mury wprawdzie ocalały, ale wewnątrz nie znaleziono nic prócz popiołów. Całe szczęście, że pożar wybuchnął w nocy, to jest w porze, kiedy niebyło nikogo z urzędników, ale też dla tej samej przyczyny nie zrobiono użytku z rezerwoarów wody, znajdującej się wewnątrz gmachu.

Dom należący do Home-Life-Company miał 17 piętr na wysokość, i właśnie przy ratunku jego doszła komenda pożarna do wniosku, że gdy drabiny sięgają tylko 8 piętra, a i żadna z pomp parowych wyżej wody nad to piętro wyrzucać nie może, domy przeto wyższe nad tę miarę budowane być nie powinny. Tak w istocie przedstawia się ta sprawa przed sądem zdrowego rozumu, ale szowinizm amerykański, upatrujący w tych budowlach olbrzymich jakiś rodzaj tytułu do podziwu świata całego, oburzył się na wszelkie pod tym względem ograniczenia. Pomyślano tedy o nowych ulepszeniach, zastosowano zamiast futryn drewnianych, żelazne, a nadto z uwagi, że pożar Home-Life-Company dostał się przez okna, wynaleziono odpowiedni środek zabezpieczający. Wszystkie otwory zewnętrzne opatrzono kurtynami stalowemi, które przy odpowiednim, prostym zupełnie mechanizmie, zapadać mogą każdej chwili.

Z takiemi właśnie ulepszeniami powstał ów wspomniany powyżej kolos, położony przy Parku-Row, który nie ma sobie równego pod względem rozmiarów na całej kuli ziemskiej. Ma on wysokości 27 pięter, czego mieszkańcy Warszawy inaczej sobie przedstawić zapewne nie zdołają, jak przez postawienie na sobie w myśli jakichś pięciu najwyższych domów tutejszych. Miara tej wysokości wynosi 117 metrów. Zresztą co do szczegółów możemy powiedzieć, że mieszka tu 4,000 ludzi; pokoi jest 950, a okien 2,095. Licząc przeciętny ruch ludności, obrachowano, że ogółem przejść może przez windy tego olbrzyma jakieś 25,000 ludzi dziennie. Ponieważ każde miasteczko mniej nawet mające niż 4,000 ludności, ma swoją własną straż ogniową, przeto i ten gmach posiada ją na swój użytek wyłączny, co przy wszystkich urządzeniach i obfitości w rezerwoarach wody, pozwala na zlokalizowanie wybuchłego na którémkolwiek piętrze pożaru z wszelką łatwością.

Szczególne ma ten naród jednakże pojęcie o tem, co wielkie. Przedstawia mu się to niesłychanie pierwotnie, zmysłowo, a przedewszystkiem kwantytatiwnie. Dużo złota, wielkie domy, olbrzymie przedsiębiorstwa, kolosalna reklama i humbugh — wszystko w tym duchu i kierunku jedynie; na to, co w starej cywilizacyi naszej rozumie ogół oświecony przez wielkość, na to, co szczep romański ma określenie „le sublime,” co Niemiec zwie „das Erhabene,” zatem na idee, sztukę, naukę z jej charakterem Benedyktyńskim, nie przyszła tam pora jeszcze. Za wiele gorączki w tem społeczeństwie wczorajszem, a nadewszystko za wiele utylitaryzmu w każdym kierunku. Ostatecznie nie samym chlebem żyje człowiek i to jest maksyma, o której zapominać nie wolno.

K.

PIEŚNIARZ.

W słoneczne zapatrzony drogi
Zstępuje pieśniarz w otchłań czarną...
Melodye świata doń się garną,
On wieniec z nich uplata drogi.

Dokoła szczezłe gnije ziarno,
Zszarpane skrzydła na rozłogi
Zamiata puchem wichr złowrogi,
Ołtarze dymią krwią ofiarną...

Dokoła orszak potępieńczy
Klątwami, śliną skroń mu wieńczy,
Bodiaki, ciernie śle pod nogi...

On idzie—idzie niby we śnie,
Na ustach światu niosąc pieśnie,
W słoneczne zapatrzony drogi...

Marion.

Z Francyi.

Zawsze jedne i te same wątpliwości przychodzić muszą czytelnikowi kronik życia francuzkiego, nb. kronik pisanych przez dziennikarzy paryzkich — nie naszych. Raz mianowicie wydaje mu się, że prasa jest od tego chyba, aby dyskredytowała naród wobec obcych; to znowu zajdą w życiu wewnętrznem tego narodu fakta jakieś, aż w tym stopniu krzyczące, że ich już nawet to płytkie dziennikarstwo milczeniem pominąć nie może, i widzi się zmuszonem napominać

lub szydzić. Jeszcze innym razem zdarzy się tak, że musi czytający wierzyć, iż chyba „wart jest, jak to u nas mówią, pałac Paca, i naodwrót." Oto naprzykład zobaczmy czem się prasa paryzka zajmowała w ciągu ostatniego miesiąca.

Wielkie i małe dzienniki przez parę tygodni z rzędu jednozgodnie darzyły swoją czytającą publiczność wiadomością upstrzoną mnóstwem komentarzy i dodatków, jako po starym Deiblerze, kacie paryzkim, obejmuje posadę p. Anatol Deibler, jego syn, jego dotychczasowy w sprawach powołania uczeń i pomocnik zarazem.

Zdawałoby się, że przynajmniej oprawca i jego pomocnicy nie powinni być przedmiotem osobliwej uwagi ze strony społeczności cywilizowanej i jej gazeciarzy. Tymczasem szczegółów i szczególików było po pismach istotnie ponad wszelką miarę, tak, że jedna z gazet większych, zgorszona, jak widać, wrzawą wszczętą w piśmiennictwie peryodycznem z tak lichej okazyi, odrukowała artykuł pod tytułem: „Pociechy rodzicielskie," Jest to satyra, i bardzo ostra satyra, którą wolno wziąść do siebie dziennikarzom, wprowadzającym w łamy pism tematy, wprost rzekłszy, poniżające czytelników; a mogą też uderzyć się w piersi przy sposobności i czytelnicy sami, bo ostatecznie trudno jest uwierzyć, żeby ci kucharze przygotowywali potrawy zupełnie ogółowi wstrętne i stale przez niego odpychane. W tym wypadku tedy dałoby się zastosować nasze przysłowie o Pacu i pałacu jego. Opowiedzmyż co mieści artykuł, który nazwaliśmy satyrycznym.

Obrazek przedstawia dwoje staruszków bardzo przykładnie dożywających lat swoich, spędzonych w uczciwej pracy. Budzą się oni pewnej nocy jednocześnie prawie, bo ojcu troska sen spędza z powiek, a towarzyszka tak nawykła dzielić jego myśli, że odczuwa wszystko, co jego zajmuje, co go cieszy lub martwi. W tej chwili on wstaje, bo jest godzina 3-cia po północy, a to godzina bardzo dlań ważna w dniu dzisiejszym. To chwila debiutu jego dziecka ukochanego, a debiut na prowincyi, to zawsze rzecz licha. Kto niema opinii Paryża za sobą, ten właściwie mówiąc nie ma opinii żadnej. Ztąd troska ojca i matki.

Źle się zdarzyło dla tego syna, mówią oboje rodzice, ale cóż robić „Bóg tak chciał widać, aby nas doświadczyć." Dalej on odgaduje przeczuciem, co robi ten syn w danej chwili, a odgaduje jako biegły w swoim fachu, spoglądając na zegar, i dzieli się z żoną przypuszczeniami, a ona, jako matka, popłakuje i modli się o powodzenie dziecka, powtarzając co chwila: „Byle mu się powiodło! Mój Boże, byle się powiodło!" Ranek cały schodzi tym rodzicom biednym w trosce i niepokoju, śniadanie jedzą dla zwyczaju, bez tego zadowolenia, jakie w starości daje dobrze zapracowane prawo do wypoczynku. Tak samo płyną godziny popołudniowe, aż nakoniec o 3-iej... depesza: „Wszystko poszło szczęśliwie!" Staruszkowie rzucają się w objęcia sobie, z zachwytem dziękują Bogu, że im dał dożyć takiego dnia pięknego, atmosfera w domu ożywia się, niebawem zaczynają się ukazywać sąsiedzi i przyjaciele; na stole zjawia się jedna i druga buteleczka okolicznościowa, toastują, odczytują depeszę, zapuszczają w przypuszczenia. Ale cóż, ta depesza taka treściwa — ani jednego szczegółu! Szczegóły opowie Anatol za przyjazdem, a tymczasem cieszmy się tem, co Bóg dał w swojej dobroci.

Trzeba wam się nakoniec dowiedzieć, czytelnicy szanowni, że to, co Bóg dał tym cnotliwym małżonkom na pociechę ich siwych włosów, to była egzekucya — ani mniej, ani więcej. Egzekwowanym był niejaki Damoiseau, były mer małego miasteczka, a gilotynował go nowy kat, którym był ów Anatol Deibler, tych zaś dwoje sympatycznych staruszków, zatroskanych o powodzenie kochanego dziecka to mama i papko Deibler. Ten ostatni, syt jest swoich paruset egzekucyi dokonanych, pensyi emerytalnej, a nadewszystko dobrze zasłużonej wziętości.

Jest bardzo dużo cynicznych szczegółów w tej szyderczej apostrofie do zwyrodnienia ogólnego wystosowanej, ale te już darowywamy czytelnikowi, ograniczając się do wzmianki, że istotnie muszą tam być niepospolicie rozwinięte ujemne instynkta w massach, skoro się jakiemuś, lepiej trochę myślącemu dziennikowi przychodzi uciekać aż do tak drastycznych środków trzeźwiących.

Juścić naturalnie, że dobrze być nie musi, bo inaczej i sama ta egzekucya nie byłaby się odznaczyła takim skandalem, jaki w tem nieszczęśliwem Troyes miał miejsce. Poruszmyż i my tych mętów tyle przynajmniej, aby dać przybliżoną miarę tego, czem muszą być w istocie Francuzi dzisiejsi. Wszystko bo w tym epizodzie jest ważne, charakterystyczne i pełne jednocześnie grozy i odrazy.

Ów tedy Damoiseau, na którym debiutowała w bieżącym miesiącu ostatnia odrośl domu Deiblerów, był to sobie niegdyś mer swojej gminy, republikanin krańcowy pod względem przekonań—z temperamentu kłótnik, pieniacz i zawadyaka — zresztą ateusz tego najniesympatyczniejszego odcienia, jakim odznacza się powszechnie ciemny chłop francuzki. Szpetny to bardzo odcień, wyszły z połączenia materyalizmu i ciemnoty, ale jest on rzeczywiście właściwym chłopu francuzkiemu, wedle tego przynajmniej, jak go nam wszyscy jednozgodnie belletryści francuzcy przedstawiają. Damoiseau miał nieporozumienie z teściem swoim, a gdy ten ostatni po śmierci córki nie chciał wypłacić przypadającego zięciowi i jego dzieciom działu majątkowego, załatwił się z nim krótko, to jest zabił z rozmysłem zupełnym teścia, teściową, swoje dziecko i jeszcze tam kogoś — ogółem zabił czworo ludzi. Zbrodni się nie zapierał, o łaskę nie prosił, zresztą nie byłby jej otrzymał w żadnym razie, bo cienia okoliczności łagodzących nie byłby mógł wyszukać jego adwokat, mimo największej pracy.

Trafiała się tedy gratka wcale nie codzienna. Mer jest bądź co bądź merem; jego dekapitacya, to wyrok wykonany na człowieku, który przedstawiał jakąś część władzy. Zabił też ojca, matkę, a choć to byli rodzice żony, to i to zawsze coś znaczy. Żonę podobno kochał Damoiseau po swojemu, więc morderstwo dziecka własnego, to przecież także nielada kwalifikacya do budzenia powszechnej ciekawości. Nakoniec umierający ateusz, to eden z najciekawszych widoków dla tłumu. Zażąda księdza, czy nie zażąda? Będzie się spowiadał, czy nie będzie? A tu nadomiar tego powszechnego podraźnienia, wchodzi w grę kat dyletant, czyli debiutant. A nuż popełni jaką niezręczność! To tak dobrze śmiać się pod gilotyną — niechnoby jeszcze nieposzykowało mu się, jako frycowi, niechby nie dobił odrazu skazańca, widowisko stałoby się wtedy nieopłaconem prawdziwie, a ten, któryby go mógł widzieć, a widzieć zaniedbał, godzien byłby nazwy ostatniego z ostatnich.

A więc tłum! Tłum wielotysięczny z miasta i okolic dalekich, mimo ulewnego deszczu nieustępujący z placu przez noc całą, a w chwili ukazania się skazanego w towarzystwie kata i pachołków, napór tego motłochu był tak niezmierny, że nie mogły go powstrzymać trzy linie piechoty strzegącej dostępu, i skończyło się na tem, że kilkanaście osób wpadło do rzeki, które też z wielką trudnością wyłowiono zaledwie z wody.

Trudno przypuścić, żeby szał niezdrowy mass mógł się posunąć dalej.

Jako koronę wszystkiego warto dodać, że między tą tłuszczą żądną krwi, była także jedna z córek egzekwowanego.

Niechże więc zaczną myśleć o sobie, bo w istocie stają się coraz mniej podobnymi do ludzi.

Y—on.

Juliusz Zeyer.

Trzy legendy o krucyfiksie.

przełożył z oryginału MIRIAM.

I.

INULTUS

Legenda praska.

(Dalszy ciąg).

Odeszła, a Gwido zwrócił się do Inulta. Począł szybko odzież z niego zdejmować i zdumiony Inultus ujrzał się naraz do pasa nagim; Gwidon zdjął mu też obuwie, poczem poprowadził go ku rusztowaniu, którego młody człowiek wczoraj nie zauważył, a które tworzyło wielki, próżny, drewniany krzyż na podwyższeniu. Gwidon postawił Inulta, jak dziecię, na wysokim podnóżku pod krzyżem, wziął powrozy, przywiązał mu mocno ręce do długich ramion krzyża, potem nogi do pnia i odsunął podnóżek. Inultus zawisł w ten sposób na drzewie, jak Chrystus sam.

Wnet potem weszła donna Flavia. W ciemnej, wolnej, tylko pasem w połowie ciała ściągniętej, prostej szacie, była jeszcze piękniejsza, niż wczoraj, zarazem wszakże była jeszcze zimniejsza, a twarz jej miała wyraz poważny i surowy. Popatrzała na Inulta, jak na przedmiot, nie jak na człowieka, i bez słowa zabrała się do pracy. Po godzinie Inultus omdlał i nie wiedział co się z nim działo. Gdy powrócił do przytomności, donny Flavii nie było już w pracowni, Gwidon i Placyda rozwiązywali trzymające go powrozy, pomagali mu się ubierać i przynieśli mu wina i posiłek.

Inultus jeść wiele nie mógł, pił za to chciwie i leżał potem długo na kobiercu, na ziemi, wsparłszy głowę na poduszce, którą mu Gwidon podał. Gdy mógł już na nogach się utrzymać, pomógł mu niemy zejść ze schodów i doprowadził go aż do mostu.

I tak odtąd bywało codzień. Inultus przechodził prawdziwe męczeństwo. Prawie nagi, przywiązany silnymi powrozami, które mu nabrzmiałe członki aż do krwi rozdzierały, wisiał tak dzień w dzień kilka godzin na krzyżu, głodny, spragniony, bo nie mógł już ani jeść, ani pić; wisiał w prawdziwej gorączce ekstazy, wynikłej z ustawicznego rozpamiętywania męki Chrystusowej, którą sam teraz przechodził ciałem i duszą. Jakieś szaleństwo zaczynało go zwolna ogarniać. Rozogniona wyobraźnia podsunęła mu myśl, że Bóg go zesłał nieszczęsnemu krajowi Czeskiemu, aby męką na krzyżu go zbawił. Zdawało mu się, że duch samego Odkupiciela ludzkości wstępował w jego ciało, gdy na krzyżu przywiązane wisiało, że tchnienie samego Boga weń wstępowało i rozjaśniało śmiertelne kształty jego ciała, aby przez nie światło zejść mogło kiedyś w ciemną ową duszę, o której mu Flavia była mówiła, w duszę tego Hiszpana, który podobno losy ziemi Czeskiej miał w ręku. Umierał prawie ze szczęścia na myśl, że przez jego śmierć ziemia jego rodzinna będzie zbawioną—przez jego śmierć, bo czuł dobrze, iż życiem to wielkie szczęście zapłaci.

Inultus był szczęśliwy, ale donna Flavia stawała się codzień chmurniejszą. Póki pracowała, zdawało jej się, że dzieło jej się udaje, ilekroć wszakże odszedł Inultus i została sama, uczuwała natychmiast pełne brzemię gorzkiego rozczarowania.

— To jeszcze ciągle nie to, czego szukam!—wołała namiętnie. — To jest ciało znękane, zesztywniałe, wynędzniałe, budzące zgrozę i litość—z niego jestem zadowolona, ale twarz! Jest piękna i smutna, jak twarz Chrystusa. Smutna, czysta, natchniona, to prawda. Ale to mi nie wystarcza! Nie widzę agonii w tem znużeniu i omdlałości jedynie! Gdzież tu tajemniczy wyraz duszy, rozstającej się z ciałem?

I w nagłej rozpaczy chwyciła jednego dnia sztylet i rozbruździła nim piękną, smutną, natchnioną i czystą twarz swego Chrystusa. Potem wszakże siadła pod krzyżem i płakała. Nie umiała płakać; łzy sprawiały jej ból tylko, a żadnej ulgi, zdawało jej się ciągle, że popełniła morderstwo.

Placyda weszła do pracowni, popatrzała na zniszczone dzieło, potem na płaczącą Flavię, i zdziwiona przystąpiła do niej.

— Płaczesz nad nim? — rzekła. — Biedaczko!

— Nad kim? — spytała Flavia, pobladłszy nagle.

— Nad Inultem—rzekła śmiało staruszka.

Flavia spochmurniała, jak gromem rażona. Serce jej biło tak silnie, że słyszała je kołaczące się w piersiach. Ale nagle wściekłość ją porwała; rzuciła się na Placydę ze sztyletem w ręce.

— Kłamiesz!—krzyknęła.

— Tem lepiej—odpowiedziała Placyda, broniąc się z zimną krwią.

Flavia uspokoiła się nagle. Rozkazująco skinęła ręką.

— Odejdź!—rzekła.—Nienawidzę go!

Placyda odeszła. Flavia opornie potrząsnęła głową, i zaczęła zohydzoną twarz swego Chrystusa naprawiać.

Na drugi dzień, gdy Inultus się stawił, zabrała się znowu cierpliwie i wytrwale do pracy, jakby nic się nie było stało.

Nienawidziła go wszakże w istocie za tę chwilową słabość, którą prawie bezwiednie dlań czuła, a którą Placyda odgadła, przeniknąwszy ją swemi wielkiemi, żółtemi, sowiemi oczami. Nienawidziła Inulta i tem goręcej znowu ukochała dzieło swe, które jej się teraz coraz lepiej udawać zaczęło. Nie było zresztą dziwu, bo jeżeli Flavia szukała cienia śmierci na ludzkiem ciele, znajdowała go codzień wyraźniej na twarzy biednego Inulta, który czuł już, że doprawdy umiera, i myślą tą się upajał, jak inni upajają się miłością lub winem. W tem piekle, w którem żył on, potomek niegdyś sławnego, dziś wytępionego rodu, on, poeta, który słów dla tego, co w nim wrzało, znaleźć nie zdołał, on Czech, który widział zdradzoną ojczyznę swą zdeptaną, zawleczoną w kał krwawy a wstrętny—w tem piekle nie miało życie dlań czaru, ani uśmiechu.

Jednego rana przyszedł cały jaśniejący szczęściem; tajemny jakiś głos mu mówił: „dzisiaj osiągniesz, czego dusza twoja pragnie!“

Donna Flavia weszła, gdy już do krzyża był przywiązany. Był prawie nagi i z całego jego ciała wychodziło wyraźnie jakieś światło. Spojrzała nie bez zdumienia na jego twarz, i widząc tam szczęście niewymowne, które na chwilę wszystkie ślady długich mąk wygładziło i zatarło, zachmurzyła się. To nie był wyraz jej Chrystusa w agonii, to szczęście przeszkadzało jej dziełu.

— Nie uśmiechajcie się, panie, tak słodko— rzekła z niechęcią. — Ten ogień szczęścia w oczach waszych nie godzi się wcale ze sztywnością członków nabrzmiałych, do krwi rozdartych. Dziwię się doprawdy — dodała nieco łagodniej—że możecie się jeszcze przez ulice aż tutaj dowlec. Czemu nie żądacie, abym po was posłała lektykę lub powóz? Nie pamiętałam o tem sama!

Inultus podniósł oczy ku niebu, uśmiechał się jeszcze radośniej. Nie będzie mu już powozu potrzeba, nie będzie z trudnością wlóczył nóg po twardej ziemi. Uśmiechał się jeszcze radośniej, ale nic nie powiedział.

Donnę Flavię przejął gniew jakiś.

— Robi mi na złość?—pomyślała sobie.

Zawołała Gwidona.

— Ściągnij mocniej powrozy! — rzekła ostro. — Nie widzisz, że więcej się rozpuszczają?

Gwidon posłuchał.

— Mocniej, mocniej!—wołała Flavia w jakiejś gorączce, spostrzegając teraz wyraz boleści cielesnej na twarzy Inulta, któremu krew z rąk i nóg płynąć zaczęła.

Na widok tej krwi oczy jej zaświeciły tygrysiem jakiemś okrucieństwem. Skinęła na Gwidona, by odszedł, wzięła wielki wieniec uwity z cierni, i włożyła go Inultowi na głowę wstąpiwszy ku niemu na rusztowanie. Oddychała ciężko, a gdy spojrzał na nią z bezwiednym wyrzutem, uczuła płomień w sercu. Mgła jakaś przesłoniła jej na chwilę oczy, ale potrząsnęła głową, przemogła się siłą nadludzką, i wgniotła mu brutalnie cierniową koronę na skronie. Zadrżał z bólu całem ciałem, słaby krzyk wybiegł mu z ust, i strużki krwi pociekły mu przez twarz na nagie, wynędzniałe piersi. Był blady śmiertelnie.

— Tak mi się podobasz! — zawołała donna Flavia w nieludzkiem jakiemś upojeniu nienawiścią i miłością, gniewem i rozkoszą chorobliwą, i pośpieszyła z rusztowania ku swemu dziełu.

Przytomność opuściła Inulta, głowa opadła mu na ramię, a oczy tonęły w mrocznem jakiemś misteryum, we mgłach między życiem i śmiercią.

To była nareszcie agonia!

Dzikie uniesienie przejęło Flavię, serce jej biło, ale ręce nie drżały. Wzięła się do pracy i zdawało jej się, że pod jej palcami cud sztuki się rodzi. Było cicho w pracowni, jak w grobie, tylko przyspieszony jej oddech i słabe jego westchnienia odzywały się w tej głębokiej niemocie. Ale Inultus przyszedł wreszcie do siebie, otworzył szeroko oczy, żył znowu.

— Boże! — rzekł — co się ze mną dzieje?

Donna Flavia zaklęła głośno.

— Jeszcze pół godziny!—zawołała—a byłabym u celu. Czemuś się przebudził?

Odrzuciła narzędzia.

— Madonno—rzekł Inultus — zdaje mi się, że umieram.

Zatrzęsła się cała, porwała za sztylet. Pierwsza jej myśl była ludzka; chciała szybko więzy przeciąć i ulżyć mu w ten sposób. Skoczyła na rusztowanie, lecz on, któremu bliskość śmierci mąciła już myśli, nie zrozumiał jej zamiaru, myślał, że chce go zamordować.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

KRONIKA.

Ignacy Paderewski.

W drugiej połowie Stycznia przyjmowała Warszawa muzykalna jednego z ludzi stwierdzających kolejami swojego zawodu prawdziwość starego aforyzmu, który nas uczy, iż mało komu uda jej się zostać prorokiem w swoim własnym kraju. Inaczej mówiąc, że łatwiej jest przebić się talentowi nieznanemu, nawet przez lody obojętności obcych ludzi, niż przez siateczkę drobnych niechęci i małostkowych zawiści swoich. Jest to bardzo niepocieszająca prawda, ale doświadczenie mówi nam niestety, iż prawie w tym stopniu niepomylna, ile niepocieszająca.

Ignacy Paderewski jest wychowańcem naszego miasta i wychowańcem tutejszego Instytutu muzycznego. Tu się kształcił w zawodzie swoim od początku, tu się dał poznać jako artysta, a że jak widać, nie zadawalniały go widoki, jakie miał na miejscu, wyjechał przed laty kilkunastu zagranicę. Czy zagranicą dopiero uzupełnił technikę swoją fortepianową i zdobył to, co się nazywa artyzmem prawdziwym wykonania—czy tam dopiero zbudziła się w znakomitym wykonawcy twórczość muzykalna, albo też uzyskał on tam tylko ów rozpęd niezbędny—nie możemy rozstrzygać. To pewna, że pierwsze fanfary wielkiej sławy Paderewskiego na obczyźnie, znalazły Warszawę artystyczną zupełnie do tych jego tryumfów nieprzygotowaną, i że rozmaicie bardzo przyjmowane one były w tym świecie, niezupełnie zresztą wolnym, jak wiadomo, od drobnych koteryjnych wzajemnych uwielbień z jednej, a ostrych niechęci i uprzedzeń z drugiej strony.

Ostatecznie jednomyślność poklasku osiągniętego na obu półkulach świata, skłoniła i naszych nakoniec artystów i amatorów — chętnych i niechętnych, do uznania w losach artysty tego przynajmniej, jako pewnika, że nie mogła ta wielka sława być dziełem przypadku, ani reklamy, czyli że Paderewski musi być naprawdę talentem bardzo wybitnym w rozumieniu wszechświatowem, skoro przez wielce wybredną krytykę wszystkich stolic europejskich uznano go takim.

Nie mając klucza do rozwiazania tej łamigłówki, która jakkolwiek obojętna dziś dla Paderewskiego, mogła wcale nie być dlań obojętną w epoce jego pierwszych kroków, stawianych w karyerze artystycznej, zwracamy jednakże na nią tutaj szczególną uwagę, a to z racyi, że interesować ona może wszystkie, we wszelkich gałęziach sztuki indywidualności należycie nieocenione, bo w danym przecież wypadku wszystko zdaje się naprowadzać na myśl, że takim niedocenionym był w swoim czasie i nasz znakomity wirtuoz fortepianowy i kompozytor.

Jakoż nie tak łatwo byłoby dzisiaj uwierzyć komukolwiek z rozumiejących ogólne prawo rozwoju talentów, i granice, jakie w pewnych okresach czasu przechodzić może ten rozwój — nie łatwo, powiadamy, byłoby uwierzyć w to, że Paderewski przed swoim wyjazdem zagranicę, był u nas przeciętnością muzyczną jedynie—że tam dopiero zrobiono z niego to, czem jest dzisiaj, a na co podówczas nie zanosiło się wcale, albo zanosiło zaledwie.

Po wszystkie czasy trafiały się podobne więcej lub mniej kompromitujące pomyłki rozmaitym areopagom — po wszystkie czasy cierpiały na tem dotkliwie jednostki, i tracił ogół pielęgnujący tymczasem rozmaite mierności kosztem sił wybitnych, skazanych na zapomnienie.

Dajmy jednakże pokój temu rozdziałowi, bo też i nie pora przypominać go dzisiaj, gdy te lat kilkanaście dały artyście naszemu rozgłos, jakiego od czasów Liszta nikt w grze fortepianowej nie osiągnął. Dzisiaj powiedzieć winniśmy przedewszystkiem, że przyjęcie, jakiego po kilkunastoletniej nieobecności doświadczył Paderewski w Warszawie, można bez przesady nazwać bardzo serdecznem. Witano w nim nietylko głośnego mistrza swojej sztuki, ale zarazem człowieka, który wśród niebywałych istotnie wszelkiego rodzaju powodzeń, nie zerwał łączności z krajem, którego niezmiennie i w wysokim stopniu interesowało przez długie lata jego wędrówki po świecie, wszystko, co interesuje nas, który wreszcie to zainteresowanie swoje manifestował nietylko słowem. Na zgromadzeniu też, które witało w resursie Paderewskiego po pierwszym publicznym występie koncertowym, objawił się ten nastrój przyjazny, który za pośrednictwem uczestników przeniósł się do szerokich kół naszej publiczności oświeconej.

Zdań krążących o istocie artyzmu tej pierwszorzędnej gwiazdy, powtarzać tutaj oczywiście nie będziemy. Piszący sprawozdania muzyczne w swoim czasie zapoznają niewątpliwie i naszych czytelników z artystyczną wartością jego utworów, i z przymiotami jego gry, którą dzisiaj zestawiają już ludzie znający rzecz, tylko z wykonaniem najwybitniejszych talentów stulecia, takich jak Liszt, Rubinszteinowie, że już pominiemy zupełnie pierwszorzędne w grze fortepianowej talenta kobiece, którym do tej oceny porównawczej trudno byłoby stanąć, jak zapewniają. Potęga to, zdaniem ogółu znawców, całkowicie wyjątkowa.

Choćbyśmy tedy brać chcieli materyał do oceny stopnia doskonałości tej gry, z tego, jak to jest niezmiernie trudno człowiekowi z niczego nieznanemu, tak zadziwić muzykalny świat europejski i zaoceanowy, jak zadziwił Paderewski, jużby nam się ten talent koniecznie w właściwych przedstawił rozmiarach.

Zapis dobroczynny.

Zmarły w bieżącym miesiącu były prefekt szkół średnich warszawskich ś. p. ksiądz Piotr Stojakowski cały swój majątek wynoszący 38,000 rs. zapisał testamentem na rzecz sierot Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności. Wzmiankują pisma, iż szlachetny zapisodawca cieszył się wielką sympatyą uczniów, a wiadomem jest, jak sprawiedliwą zawsze bywa w gruncie rzeczy ocena tych dusz młodych, gdy idzie o członków ich zwierzchności szkolnej.

Wskazówki i rady.

Benedyktynka udoskonalona.

1 łut jak najświeższego dzięglu przetłuc trochę w moździerzu, pół łuta mirry, 1 łut jałowcu na połowę tylko przetłuczonego, laskę wanilii i kawałek „gentianna lutea" wielkości ziarnka grochu, namoczyć w pół kwarcie spirytusu 94 próby na 3 dni, stawiając w cieniu. Ćwierć łuta szafranu namoczyć w kwaterce dobrego araku na 24 godzin tylko. W gąsior przeszło półgarncowy conajmniej wlać półtory kwarty spirytusu 94 próby, dolać owe pół kwarty, zlane przez bibułę szwedzką z aromatów i arak z szafranu także przez płótno cedzony. Zrobić syrop z pięciu funtów cukru, biorąc kwaterkę wody na funt cukru. Cukier rozpuścić pierwej na wolnem miejscu, najlepiej lejąc gorącą wodę. Gdy się rozpuści zupełnie, dopiero postawić na ogniu do gotowania, bo postawiony odrazu, zagotuje się, zostawiając na dnie nierozpuszczone kawałki. Gdy się raz dobrze zagotuje, zestawić rondel z ognia i rozbierać syrop owym pół garncem spirutusu, mieszając drewnianą łyżką. Dolać ćwierć butelki dobrego koniaku i kieliszek niespalonego karmelu dla lepszego zakolorowania. Można go zaraz póki ciepły filtrować przez bibułę szwedzką, składając ją w karby w lijek umyślny do filtrowania z otworami po bokach. Można go jednak odrazu zlewać w suche butelki, gdyż jeżeli jest starannie zrobiony, po pewnym czasie ustoi się i będzie zupełnie czysty, bo filtrowanie przy gęstości likieru nie idzie tak szybko. Głównym warunkiem dobroci jest, aby go zaledwie w pół roku, a lepiej w rok używać.

Uwaga. Używając świeżego dzięglu, który się kopie w Maju, i świeżego jałowcu, który się zrywa jesienią, będzie likier o sto procent lepszy. Dzięgiel wykopany w Maju nalać spirytusem na 4 dni, zlać i zachować do jesieni, kiedy jest świeży jałowiec, a będzie benedyktynka, jak prawdziwa z klasztoru Benedyktynów.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani J. M. z Żyt. O krój spódnicy raczy Pani zwrócić się do firmy Maison Phénix ulica Niecała. Pailletki kupują się na małe paczki po 250, 500 i t. d. sztuk; bywają czarne, stalowe, złote, srebrne, z połyskiem kolorowym. Cena zależy od wielkości i gatunku, zacząwszy od 40 kop. i wyżej. Kupują się w sklepach, gdzie są wszelkie przybory do robót lub szmuklerskie.

Prenumeratorce z Włodzimierskiej ul. Na pytania Sz. Pani może tylko doktór odpowiedzieć i wskazać sposoby skuteczne, a nieszkodliwe zdrowiu.

Pani W. Hryń. Liści zielonych gotowych można dostać na paczki (po 12 tuzin.) w składach papieru; dodatki do kwiatów kupują się tylko w fabrykach kwiatów. Czy był wydany podręcznik do roboty kwiatów papierowych—nie wiemy.

Pani I. B. prenum. w Białostoku. Odpowiemy listownie—w piśmie byłoby za długo.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

TREŚĆ:

Дозволено Цензурою Варшава 1? Января 1899 г. Warszawa. Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**

Edmund Chojecki.

ALKHADAR

Ustęp z życia ojców naszych.

(Ciąg dalszy).

Powyższe sprawozdanie zmieniano stosownie do natury pochłaniających je uszu; tło zawsze zostawało to samo. Obrót ten miał dzielnie przyczynić się do zerwania małżeństwa, a następnie do wydania hrabianki za miłego Zakonowi szambelana Fürstemberga.

Sokolnik po dwugodzinnej przechadzce wracał do domu; żony nie zastał. Powiedziano mu, że wyszła z księdzem Kapelanem do kościoła. Zapewne, stosownie do mężowskiego polecenia, chciała zostawić córkę samą.

Magnat nastroił twarz, wkroczył do salonu. Nie było nikogo, więc udał się na górę do pokoju córki.

Marya, pogrążona w szerokiem krześle, z głową ukrytą w dłoniach, siedziała bezwładna jak posąg wykuty z marmuru. Szmer wchodzącego ocknął ją z zamyślenia.

Lekki krzyk przestrachu wyrwał się z piersi dziewczyny — powstała — wsparta o poręcz krzesła, z głową naprzód pochyloną, z ciekawie zatrwożonemi oczyma, niespokojna, przejęta bojaźnią i nadzieją—to pewna, że los sprawę na dobre obróci, to przekonana, że wszystko stracila. Na jedwabiu rzęs jej, chwiały się jeszcze dwie dyamentowe łzy — dwa klejnoty niewieściego serca, roztęczowane żalem i obawą, które wezbrawszy nad miarę, zwolna toczyły się w ślad za licznemi, jak było widać poprzednikami. Rodzicielski wzrok wywołał tuż za niemi przejrzysty szkarłat rumieńca — dziewczyna z gorzkim uśmiechem podniosła chustkę do twarzy; rada byłaby wszystko odrazu usłyszeć, zapytania atoli uczepić nie śmiała.

Sokolnik niósł na obliczu wyraz bolesnego niezadowolenia. Postąpił kilka kroków, uścinął córkę, ale wraz z pocałunkiem wydarło się mu z piersi mimowolne a ciężkie westchnienie. On także cierpiał!

Marya odgadła, że ojciec nie miał jej do powiedzenia nic pocieszającego. Kilka godzin samotnej z własnemi myślami walki, zamiast wycieńczenia na duchu, dodało jej siły i gotowości. Poczuła w sobie niezwykłą, niepospolitą kobietę, godną tych strasznych cierpień, w jakich tłum upatrywał nieszczęście, ale które wyłącznym naturom służyły za powód wzniosłych z losem przebojów, pełnych uroku poświęceń.

— Wracam moje dziecię — rzekł Sokolnik — wracam nie z oliwną gałązką; sam nie wiem, co mam ci powiedzieć — jak zacząć?

— Bądź spokojny o mnie, mój ojcze — odrzekła Marya głosem, którego natchniona uroczystość po raz pierwszy uderzała zadziwiony słuch magnata—odrazu widzę, że niewolno mi spodziewać się niczego dobrego. Gotowa jestem na wszystko; zniosę nieszczęście nie jak dziecko, ale jak kobieta. Mów śmiało mój ojcze — czy już po pojedynku?

Sokolnik skinieniem głowy dał przeczącą odpowiedź.

Maryi kamień spadł z serca; odetchnęła głęboko, posępne atoli ojca oblicze nie pozwoliło jej rozjaśnić duszy spokojem. Nie pojedynek przynosił jej zmartwienie; boleść uderzała w nią pod innemi kształty.

— Spotkanie odłożone!... gdzie — na kiedy?... wtrąciła szybko. Okropna męka oczekiwania!...

— Niepotrzebujemy obawiać się walki. Kazimierz żyje, żyć będzie, umrze zwyczajną śmiercią i to zapewne w późnych latach. Nie lękam się o niego — umie siebie oszczędzać.

— Nie rozumiem cię mój ojcze.

— Słuchaj mnie, moje dziecię — prawił Sokolnik łagodnie, wracając córkę na krzesło — z szlachetnem twojem sercem — niestety — wkrótce aż nadto mnie zrozumiesz. Jestto pierwszy w życiu twojem wypadek, gdzie będziesz musiała odwołać się już nie do przekonania rodziców, ale do własnej twej woli. Zważ dobrze na moje słowa; pochodzą one od człowieka, który za chwilę twego szczęścia oddałby całe swoje życie, gdyby oddawna nie był go już poświęcił tobie, dla ciebie tylko droga moja jedynaczko.

Przestałaś być dzieckiem; muszę mówić z tobą o rzeczach, o których dotąd nie rozmawialiśmy nigdy.

Myśl o ustaleniu twego losu była dla mnie niewyczerpanem źródłem błogich marzeń i ciężkich niepokojów. Ciebie jedną miałem na świecie; ty byłaś ostatnią dziedziczką nazwiska i majątku przekazanego nam przez długi szereg znakomitych przodków.

Przed trzema laty w Wiedniu, ofiarowano mi dla ciebie zaszczytne związki. Odmówiłem — naprzód dla tego, że byłaś za młodą, powtóre, że chciałem zostawić cię panią twego wyboru. Byłem pewny, że odpowiesz godnie rodzicielskiemu zaufaniu i obowiązkom względem naszego domu. Te ostatnie były mi najdroższemi; ród nasz co do sławy, żadnemu innemu nie ustępuje w Cesarstwie. W żyłach twoich krąży krew w niczem nieposledniejsza od krwi panującego nam łaskawie domu Habsburgów.

Wróciwszy na wieś, matka dla twojej rozrywki namówiła mnie do przepędzenia zapust we Lwowie. Przystałem na jej życzenia tem chętniej, że mnie również miło było poszczycić się tobą przed światem. Serce mi rosło, gdym widział, że w całym kraju żaden ojciec nie miał więcej powodów być dumnym ze swego dziecięcia.

— Mój drogi ojcze!...

— Nie mówię ci pochlebstw. Pierwszy raz słyszysz odemnie podobne słowa, ale przyrzekłem ci odkryć głąb mojej myśli; dotrzymam obietnicy.

Nie będę przypominał, jak weszliśmy w znajomość z Piotrem, zwłaszcza zaś z Kazimierzem Porajem; sama wiesz o tem najlepiej.

Z początku zaraz odgadłem, że młodszy brat podnosił wzrok ku tobie, że owładnięty uczuciem, ciebie miał tylko na myśli. Nic dziwnego; na jego miejscu byłbym tak samo postąpił.

Przyzwoite jego ułożenie, wstręt do próżniactwa i do rozpusty, zaszczytnie odróżniały go pośród młodzieży i przychylnie nas ku niemu uprzedziły. Otworzyłem mu drzwi mego domu; z przyjemnością widywałem go częstym gościem.

Jeżeli się nie mylę, odwiedziny jego i tobie nie były natrętnemi.

Długo nieraz sam rozmyślałem, długie nieraz w przedmiocie tym z matką twoją toczyłem rozmowy. Inne marzyłem dla ciebie zamężcie. Blask naszego rodu pragnąłem przekazać człowiekowi, któryby dziedziczkę tylu znakomitych dygnitarzów wprowadził w dom, godnością odpowiedni naszemu.

Ale przodkowie nasi żyli w niebie tylko i w dziejach — ty chodziłaś po ziemi.

W przywiązaniu bez granic dla ciebie, puściłem ich w niepamięć.

Spółczucie twoje dla Poraja było widocznem. Przebaczałem mu poziomość urodzenia; byle mi tylko szczęście mojego dziecięcia zapewnił, zapominałem mu, że pochodził z zagonowej szlachty, że w rodowodzie nie posiadał ani buławy, ani infuły, ani laski, ani nawet drążkowego w senacie krzesła. Sądziłem, że nie należało zbyt zważać na brak familijnych zaszczytów, że chęć i podobieństwo błogiego ustalenia twojej przyszłości, wypadało poczytać mu za zasługę wyższą nad nieskończony szereg antenatów.

Z jednozgodnem oburzeniem ludzi równie nam urodzonych, przyjąłem go i ukochałem jak własnego syna.

Traciłem wiele zyskiwałem jedną rzecz, ale droższą nad skarby całego świata; zyskiwałem spokojność o twój los, wiarę, że znajdziesz szczęście idąc za popędem twego uczucia.

Starszy brat wspominał mi o małżeństwie; odwołałem się do twojej woli. Co do mnie, wręcz oświadczyłem, że na związek z Kazimierzem chętnie udzielę mego błogosławieństwa. Kochana twoja matka podobnąż dała odpowiedź. Obojgu ubyło nam lat; odetchnęliśmy nowem życiem. Rozłączaliśmy się z jedyną pociechą naszej starości, oddawaliśmy córkę zięciowi pospolitego urodzenia, powierzaliśmy znaczny majątek częścią po rodzicach odziedziczony, częścią zapracowany własnym trudem, człowiekowi miernych zaledwie dostatków — bylibyśmy i duszę mu oddali. Dla ciebie, a tem samem dla niego, dla niego a tem samem dla ciebie, nic nie mieliśmy do odmówienia.

Łzy rozrzewnienia zabłysły w oczach Maryi. Zablisko dotąd żyła rodziców, za nadto zbliska na nich spoglądała; nie mogła objąć

wzrokiem całego bezmiaru ich przywiązania, nie domyślała się nawet, jakie głębiny kryją miłość matczyna i serce tkliwego ojca.

Sokolnik z zadowoleniem dostrzegł w oczach córki potrzebne wzruszenie: upieścił ją powłóczystym wzrokiem i ciągnął dalej:

— Wczorajsze zajście Poraja z Wilczkiem, nie wiem czyli należy uważać za istotne nieszczęście, lub też za zbawienną z nieba przestrogę?

— Jakto mój ojcze?... w czem przestrogę?... Ach, powiedz raczej nieszczęście!

— Każdy z nas, moje dziecię, ma prawo sądzić wedle własnego sumienia. Ja dotąd przyjść do siebie nie mogę. Co za szczególny, co za nagły a niespodziewany przewrót! Człowiek, za którego byłbym duszą zaręczył, w którym widziałem wzór całej młodzieży!...

— I słusznie mój ojcze; jest to zdanie wszystkich, którzy go znają.

— Niezupełnie. Gdybyś słyszała co mówią o nim na mieście przyjaciele i obojętni, znajomi i nieznajomi?... Lwów cały jednym trzęsie się głosem. Dziś z rana, nieopowiedziałem ci dokładnie wypadku; sam o szczegółach nie byłem jeszcze zawiadomiony. Prawdę mówi przysłowie: „nim poznasz człowieka, musisz zjeść z nim beczkę soli.“ Według opisu naocznych świadków, Kazimierz podochocony napojem, pierwszy wszczął zwadę z Wilczkiem, pierwszy napadł nań w słowach które nie pojmuję, jak w ustach jego mogły znaleźć miejsce.

— Niepodobna mój ojcze—przysięgam ci—niepodobna!... powtarzasz wyrazy jego nieprzyjaciół.

Powtarzam wyrazy brata jego Piotra. Dotąd wreszcie nie ma jeszcze tak wielkiego zgorszenia. Gdybyś znała zwyczaje naszej młodzieży!... Najprzyzwoitszemu zdarza się niekiedy uledz zgubnemu przykładowi, roz szaleć w sobie zmysły, wybiedz słowem lub uczynkiem za granice umiarkowania. Wilczek wbrew swej naturze — przez wzgląd zapewne dla naszego domu, długo znosił napaść cierpliwie, aż nareszcie przyprowadzony do ostateczności, wybuchnął swoim zwyczajem i zadał Kazimierzowi najdotkliwszą—dla człowieka honoru niewysłowioną zniewagę.

— Lica Maryi ob'ały się szkarłatem; krew senatorska uderzyła jej do głowy; dziewczyna strasznie cierpiała.

— Przebacz mi — prawił dygnitarz — radbym oszczędzić ci bolesnych szczegółów, ale kielich napoczęty, trzeba go do dna wychylić; przyrzekłem wyjawić całą prawdę.

Świat, nim człowiekowi zaufa, wystawia go niekiedy na próbę—pyta co więcej ceni godność czy życie?—żąda jasnej odpowiedzi—wyraźnych dowodów.

Wczoraj jeszcze Wilczek spodziewał się wyzwania. Z pewnością mogę ci zaręczyć, że krewny nasz żałował swego postępku, że byłby oszczędzał swego przeciwnika; głowę ma niespokojną, ale serce szlachetne; kto wie nawet, czyli na placu boju nie byłby mu pierwszy padł w objęcia, uścisnął, przeprosił i zakończył sprawę z powszechnem zadowoleniem.

Należało jednak koniecznie, nieodzownie dopełnić niektórych formalności, zastosować się do przyjętych w towarzystwie zwyczajów.

Sądź teraz sama moje dziecię; doba upłynęła, Kazimierz się nie odezwał.

— Cóż z tego, mój ojcze?... jeszcze przecie ma czas, jeszcze może namyślić się, posłać do Wilczka, wszystko naprawić.

— Próżne nadzieje! Przed chwilą rozstałem się z starszym bratem — zacny, szlachetny człowiek—mało takich na świecie! Piotr całą noc strawił z nim na rozmowie; na kolanach błagał go, ze łzami zaklinał, wystawiał mu wstyd, jakim okryje rodzinne nazwisko. Kazimierz ani chciał słuchać o pojedynku.

— Dlaczego — jakie dawał przyczyny?

— Niedowierzał wspaniałości Wilczka; przeląkł się o życie.

— On?... nie, nie — mój ojcze, nigdy nie uwierzę!... niezrozumieli go!

— Powtarzam słowa tego, który znał go od kolebki, który go wychował. Nieszczęsna słabość — zgubny brak woli do poparcia czynem przekonań pojętych rozumem – ślepe przywiązanie do życia—wada urodzenia—niedostatek szlachetnej krwi w żyłach, prawda i odwaga w słowach, fałsz i zajęcze serce w zastosowaniu—porywcze usta i leniwa dłoń—szczere złoto po wierzchu, szych, folga na wewnątrz! Nie pierwszy to przykład!... rzadko wprawdzie, ale spotykałem już podobne charaktery.

— Dość, dość mój ojcze!... i ty go obwiniasz, ty, któryś go tak ukochał!..

Złożyła ręce, łkania przerywały jej słowa, serce pękało z boleści, rozpacz połamała piękne rysy; zdało się, że biła dla niej ostatnia godzina.

Sokolnik z zimną biegłością anatoma śledził na córce koleje wrażeń. Rzecz szła mu po myśli; postanowił zadać stanowczy cios. Nie bacząc na rozprzężenie biednej dziewczyny, powstał i silnym głosem rzekł:

— Wspominałem o wypadku, muszę teraz dać ci wyobrażenie o następstwach. Osobiste bezpieczeństwo przeniosłszy nadewszystko, Poraj może być pewnym, że odtąd nikt nie targnie się na ten drogi mu skarb. Ludzie to tylko w nim potępią, czem on sam w sobie pogardził; wyrzekł się honoru, godności — okrzykną go bez honoru, bez godności; dowiódł, że niema odwagi — wytkną go palcem jako nikczemnika.

Marya zwieszona na poręczy krzesła, zanosiła się od płaczu; spazm rozpaczy szarpał jej łono, każdy wyraz uderzał piorunem.

Sokolnik nagle uciął, zbliżył drugie krzesło ku córce, siadł obok, ujął ją za rękę, oparł na swoich piersiach; wyłagodził, wyrzewnił głos, i jak gdyby z głębi serca dobywał wyrazy, mówił dalej:

— Trochę odwagi, biedne moje dziecię! Rozchorujesz się — dożyliśmy pięknego dnia. Przezemnie cierpisz luba moja jedynaczko, ale cóż czynić?—musiałem odkryć ci całą prawdę. Od kogóż ją usłyszysz, jeżeli nie od twego ojca? Pamiętaj wreszcie, że słowa moje są sądem względnym mego wyłącznie przekonania, że nikomu, a tembardziej tobie nie myślę ich narzucać za ostateczny wyrok. Jesteś panią twojej woli; nikt niema prawa i nie będzie do niczego cię przymuszał. Postąpisz jak sama zechcesz. Uroczystych zobowiązań dotąd nie było — czyli zaś zaszły między wami, wyraźne jakie, wzajemne obietnice? — nie wiem. Cokolwiek przedsięweźmiesz, bądź pewną, że ani odemnie ani od matki nie usłyszysz słowa wyrzutu. Nam chodzi tylko o twoje szczęście.

W tej chwili otwarły się drzwi; Sokolnikowa i kapelan wracali z kościoła.

Hrabina, spostrzegłszy córkę pasującą się ze strasznem cierpieniem, przeraźliwie krzyknęła; ksiądz wylękły, stanął we drzwiach jak wryty.

Sokolnik sam jeden nie okazywał żadnego wzruszenia.

— Nie ma czego się trwożyć, nie ma czego krzyczeć — rzekł ponuro — to dla jej dobra; lekkie omdlenie, nic więcej. Dać jej odetchnąć amoniaku, natrzeć skroń kolońską wodą — za godzinę będzie zdrowa.

Wyrazy te zimno wypowiedziane, przekonywały, że magnat nie cierpiał na zbytek czułego serca.

Kazimierz jasno przewidywał skutki swego postanowienia. Zdradzili go swoi, opuścili blizcy; na mieście znajomi, których spotykał przebiegali na drugą stronę ulicy, udając, że go nie spostrzegają.

Czegoż dopiero należało spodziewać się od gawiedzi?

Zarzut o nikczemny brak odwagi, zewsząd musiał przeciw niemu wybuchnąć. Przepowiednie Piotra miały wypełnić się co do słowa

Brak odwagi!...

Poraj z uśmiechem przypomniał sobie kilka w życiu wypadków, gdzie śmierć zajrzała mu w oczy i uciekła strwożona zimną pogardą jego wzroku.

Kazimierz nie wątpił, że przypadło mu w podziale inne wynagrodzenie za boleści życia całego. Chociaż go wszyscy opuszczą, cóż straci, jeżeli ona mu pozostanie?... Ona mu świat zastąpi, więcej nawet, ona w miejscu złego świata stworzy mu inny pełen cudów, uczucia, uroku wspólnych myślą polotów. Tuląc lubą istotę do piersi, czyliż trudno zapomnieć o reszcie?

Zapomnieć, dopóki przypomnieniu nie wybije stosowna godzina!

W razie nawet, gdyby magnat zwaryowany na głupią fanaberyę towarzyskiego formalizmu, chciał mu stawiać przeszkody, cofać dane słowo, odmawiać córki i wtedy jeszcze nic nie ma straconego. Przemoc rodzicielska rozbije się o nieugiętą wolę dziewczęcia.

Ludzka moc bezsilną jest na rozłączenie serc, które Bóg stworzył jedno dla drugiego.

(Dalszy ciąg nastąpi).